

FRANZ KAFKA

Red. Liter. Rep.

19. X. 80
16⁰⁰ 17³⁰

437

DOCIĘKANIA P S A

(Fragment)

Główny Urząd Kontroli Prasy
Publiki i Widowisk
Delegatura w Gógoszycy
Główna siedziba w Krakowie
i rozbiórwa, ochronianie

Nakład K. K. 10 Format
Data 17 X 80 Podpis 16

Przypomina mi się pewne zdarzenie z czasów mej młodości. Opowiadał mi wówczas pewien rodzaj owego błędnego, nie dającego się wyjaśnić podniecenia, jakie chyba każdy przeżywa w dzieciństwie; byłem wtedy jeszcze bardzo młodym psem, wszystko mnie zachwycało, wszystko było mi bliskie, wierzyłem, że dokoła mnie dzieją się wielkie sprawy, w których i ja gram poważną rolę, którym muszę użyć swego głosu. - sprawy, które zostałyby bez nadziei zapomniane, gdybym o nie nie zabiegał, nie trudził się dla nich całą swą istotą. Oczywiście były to dziecinne fantazje, które z biegiem lat się rozwiały, ale wówczas występowały one z przemożną siłą, pozostawałem całkowicie pod ich urokiem; a potem doprawdy zdarzało się coś rzeczywiście nadzwyczajnego, co zdawało się usprawiedliwiać takie nieokiełznane oczekiwania. Nie było to może samo w sobie niczym tak niezwykłym - później nader często oglądałem znacznie osobliwsze wydarzenia, ale wówczas wywierało to na mnie silne, nieznane mi jeszcze, niezatarte wrażenie wytyczające kierunek wielu moim dalszym przeżyciom.

Spotkałem mianowicie kiedyś niewielką gromadkę psów - a raczej nie ~~ja~~ spotkałem ich, lecz one wyszły mi jakby na przeciw. W owym czasie długo błądziłem w ciemnościach, w przeczuciu wielkich spraw mających się wydarzyć. Było to wprawdzie nieco złudne przeczucie, nawiedzało mnie bowiem od dawna i stale, ale wtedy wzdłuż i wszerz przemierzałem otaczający mnie mrok, ślepy i głuchy na wszystko, wiedziony jedynie nieokreśloną tęsknotą - i oto zatrzymałem się nagle z uczuciem, że znalazłem się

wrzście na właściwym miejscu; rozejrzałem się przeto i stwierdziłem, że nastał nad podziw jasny dzień, nieznacznie tylko zamglony i wszystko na wskroś przesycone było dookoła wzbudzonymi, oszałamiającymi zapachami. Powitałem więc ten poranek paroma bezładnymi okrzykami i wówczas - jakbym je w ten sposób wyczarował spod ziemi - nie wiadomo skąd, może z nocy, po prostu, wyszło nagle siedem psów podnoszące przy tym przeraźliwą wrzawę, jakiej dotychczas nigdy jeszcze nie słyszałem. Gdybym wyraźnie nie widział, że były to psy, i że to one właśnie zjawiły się z takim hałasem - co prawda nie mogłem rozpoznać wcale, w jaki sposób go wywoływały - byłbym natychmiast się oddalił, ale dlatego właśnie zostałem. Wtedy nie prawie jeszcze nie wiedziałem o właściwej tylko psiemu rodowi twórczej muzykalności, oczywiście wymknęło się to mojej uwadze, mojemu rozwijającemu się zrazu powoli zmysłowi obserwacyjnemu, bo przecież muzykalność otaczała mnie od czasu, gdy byłem jeszcze szczenięciem, była mi znana jako sam przez się zrozumiała, nieodzowny element życia i nic nie zmuszało mnie do specjalnego zastanawiania się nad tym; jedynie więc w jakichś napomknieniach dostępnych pojęciom dziecka próbowano mi na to zwrócić uwagę, toteż tym większą niespodzianką, wstrząsem po prostu było dla mnie owych siedmiu wielkich artystów - muzyków.

Nie mówili nic, nie śpiewali, milczeli na ogół z wielką niemal zawziętością, a jednak z pustej przestrzeni wyczarowywali tyle artyzmu. I wszystko było tu muzyką: unoszenie i opuszczanie przez nich stóp, określone ruchy głowy, ich bieg i spoczynek, pozycje, które w stosunku do siebie zajmowali, taneczne układy, w których ustawiali się obok siebie, kiedy na przykład jeden z nich przednie kończyny opierał na grzbiecie drugiego, po czym wszyscy stawali w takim porządku, że pierwszy wyprostowany dźwigał ciężar pozostałych, albo też gdy ich pełzające po ziemi ciała tworzyły powikłane figury, w których nigdy

się nie mylili, nawet nie ten ostatni, który jeszcze nie posiadał całkowitej pewności siebie i w podejmowaniu melodii był jak gdyby czasem mniej zdecydowany - i on jednak okazywał się tylko nieco mniej precyzyjny w porównaniu ze wspaniałą biegłością i dokładnością artystyczną pozostałych i nawet przy znacznie większym, chyba nawet przy całkowitym braku pewności siebie, nie mógłby niczego zepsuć, kiedy tamci wielcy mistrzowie zachowywali niezłomnie rytm muzyki. A przecież nie widziało się ich prawie, wszystkich ich niemal się nawet nie dostrzegano. Wystąpili, powitało się ich w duchu jak się wita psy, oglądano się je zgodnie z przyzwyczajeniem jak wszelkie istoty, które się spotyka na swej drodze, pragnęło się do nich nieco zbliżyć, zamienić z nimi pozdrowienia, chociaż znajdowały się tak blisko - ale były to psy, co prawda znacznie ode mnie starsze i nie z mojej długowłosej, wełnistej rasy, ale przecież psy niezbyt mi obce pod względem wielkości i kształtu, może nawet ze mną spokrewnione. Znałem wiele takich samych, albo należących do podobnego gatunku, ale oto, chociaż byłem jeszcze zaabsorbowany takimi rozważaniami, tutaj już muzyka zaczynała usuwać w cień wszystko, przejmowała formalnie władzę nade mną, odrywała mnie nagle od tych w rzeczywistości małych psów i teraz, zupełnie pozbawiony woli, broniąc się z całej siły i niemal wyjąc - jakby mi kto zadawał ból - nie mogłem już myśleć o niczym innym, tylko o tej muzyce nacierającej na mnie ze wszystkich stron - z góry, z głębi, zewsząd - otaczającej słuchacza, zalewającej go, przytłaczającej i mimo swego przemijania tak bliskiej, że stawała się już dala ledwie słyszalnie dmąca^a w fanfary. Ale potem znowu, gdy byłem już wyczerpany, unicestwiony, zbyt słaby, żeby jeszcze ją słyszeć, wyzwalała mnie na jakiś czas spod swej władzy i już tylko widziałem poruszających się w swoich procesyjnych tanach, wyczynia-

jących swe skoki owych siedem małych psów, do których - chociaż wydawały się nader nieprzystępne - pragnęło się ~~przebiec~~ coś zawołać, prosić je o jakieś wyjaśnienia, zapytać, co tu właściwie robią. Byłem przecież młody i wierzyłem, że zawsze wolno mi zwracać się do wszystkich z pytaniami, ale gdy już chciałem się odezwać, kiedy już odczuwałem prawdziwą, pełną ufności psią łączność z tamtymi siedmioma - pojawiała się znowu muzyka, oszalała mnie, porywała w jakiś wir nieokreślony, jakbym sam stał się jednym z tych muzykantów, podczas gdy byłem tylko ich ofiarą - i oto jakaś melodia miotła mną we wszystkie strony pomimo moich usilnych próśb o chwilę litości, a w końcu wyzwalała mnie tylko w ten sposób spod swojej przemocy, że po prostu odrzucała mnie coraz dalej i dalej. Tak cofając się przed nią zostałem nagle wtłoczony w gęstwinę krzewów rosnących w pobliżu. Nie zauważyłem ich dotychczas, ale nagle otoczyły mnie ze wszystkich stron, zmusiły do pochylenia głowy i pozwoliły mi odetchnąć na chwilę, chociaż tam - w wolnej przestrzeni - grzmiała jeszcze wciąż muzyka. I teraz - prawdę mówiąc - więcej niżli sztuka i artyzm tych siedmiu psów, artyzm, którego nie mogłem pojąć ani przyswoić sobie ze względu na moje ograniczone w tej mierze zdolności - dziwiłem się ich odwadze, że temu co robili i co ich łączyło, oddawali się na oczach wszystkich, całą swą istotą - może nawet ponad własne siły, a jednak potrafili temu podołać, nie załamując się pod takim obciążeniem.....

T ł u m a c z y ł:

Alfred Kowalkowski